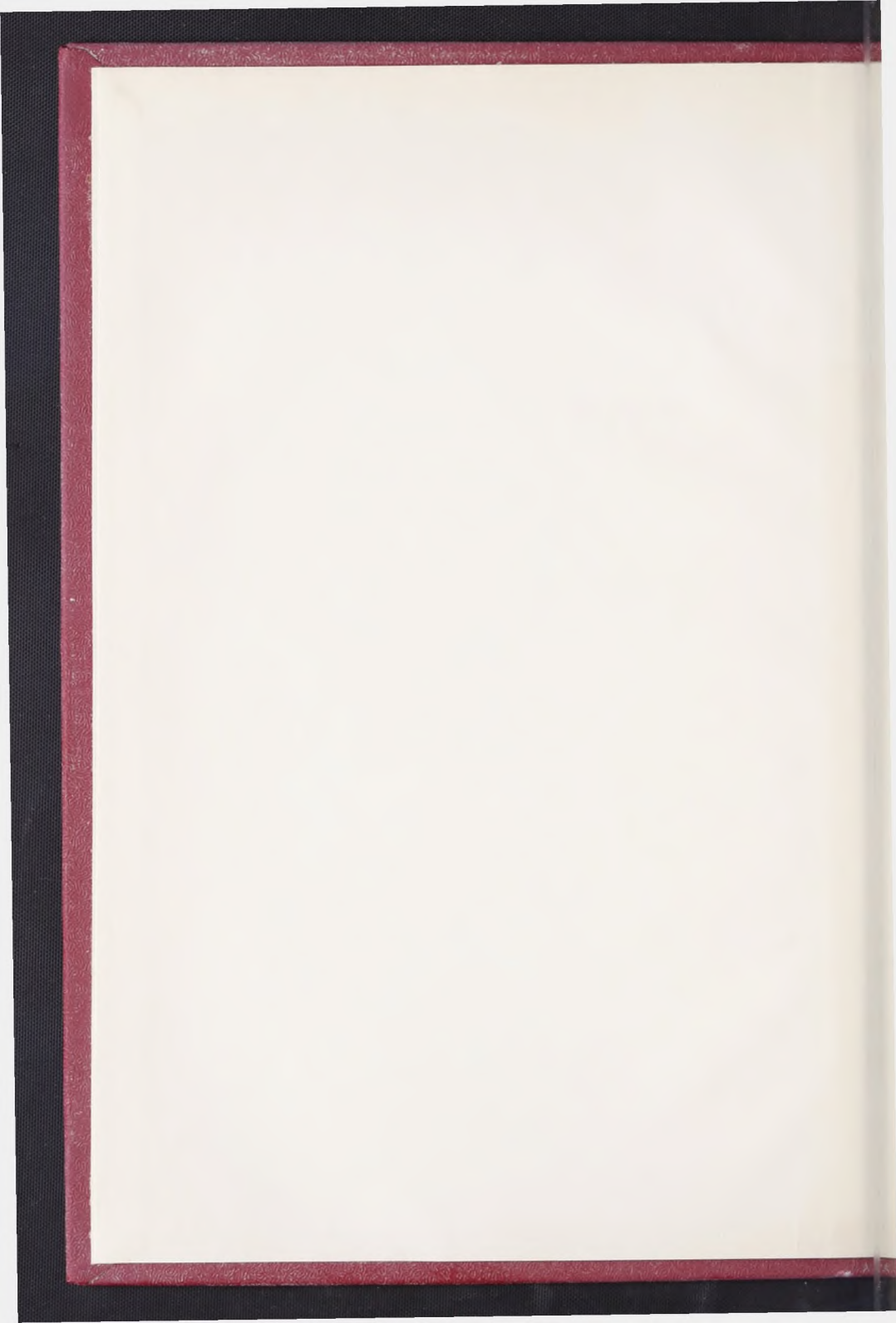


2009262







I 2.009262
Dodatek do „WOLNEGO SŁOWA” № 151.

LEO BELMONT.

Jak zabijaliśmy doktora Esperanto.

HUMORESKA.

W roku kongresu Esperantystów, mające-
go odbyć się w Krakowie
znakomitemu tłumaczowi „Mazepy“ i „Hal-
ki“ na język Esperanto

Antoniemu Grabowskiemu

ofiarnemu Redaktorowi „Pola Esperantisto“

Janowi Güntherowi

świetnemu tłumaczowi „Faraona“ i „Na dnie nę-
dzy“

Kazimierzowi Beinowi

tę smutną humoreskę w hołdzie przyjaźni skła-
dam



WARSZAWA.

1912

61158



1 2009.262



Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001012360954

I.

alczę się, że czytelnik jest pewny, iż w tytule niniejszej opowieści tkwi metafora. Już z góry domyśla się, że „my”—to ja, on, oni, słowem my, warszawiacy, albo szerzej—dzieci Sarmacji, że z owego „my“ osobiste „ja“ autora jest wykluczone, że poniżej będzie wielkie kiwanie palcem pod adresem nas wszystkich, co milczeniem głuchem, albo drwinką błazeńską, albo niekrytycznym napadem nieuctwa, albo lenistwem myśli, albo obojętnością „zabijaliśmy“ pożyteczną dla ludzkości ideę, „zabijaliśmy“ twór wielkiego marzyciela...

Jeżeli czytelnik domyśla się tego, to źle się domyśla. W moim tytule niema ani żdźbła metafory. Chodzi tu wcale nie o zabijanie metaforyczne, ale zupełnie prawdziwe, dosłowne, no... takie, które zabronione jest jeszcze na górze Synai i niedopuszczalne przez policję, słowem, o takie, że... niniejszy artykuł należy koniecznie z zaciekawieniem przeczytać.

Bo rzecz jest ogromnie sensacyjna i bajecznie prawdziwa (teraz „bajecznie“ Warszawiacy mówią co 5-e słowo) i owo „my“ to wcale nie wy i oni, ale poprostu ja i moich pięciu znajomych, esperantystów, i chodzi tu ...no, co tu obwijać w bawełnę?—o nasze kry-mi-nal-ne przestępstwo!

Bardzo więc proszę posłuchać, bo dwa razy ludzie do takich rzeczy się nie przyznają!...

Działo się to lat dwanaście temu... poczekajcie, trzynaście... nie! będzie bodaj piętnaście*). W datach naogół

*) Pisałem w r. 1905, w którym też nowela niniejsza ukazała się w „Kurjerze Codziennym“. Dziś uważam za stosowne przypomnieć ją z powodu zbliżającego się kongresu międzynarodowego esperantystów w Krakowie.

jestem pamięciowo kruchy. Doskonale utrzymuję w pamięci tylko idee. Więc mogę wskazać napewno zaledwie to, że było to w czasach, kiedy broszurka „Język międzynarodowy“ leżała już i leżała jeszcze za szybą księgarni, kiedy my, warszawiacy, przechodziliśmy koło tej szyby, śmiejąc się do rozpuku z nowego „międzynarodowego języka“, kiedy „Kurjer Warszawski“ obejrawszy książeczkę przez szybę, informował czytelników, iż... dr. Esperanto wydał „Volapük Schleyera dla Polaków“ (!), kiedy w pendant do tej „dokładnej“ informacji p. Jan Jeleński oburzał się na „nowy geszeft żydowski“ i jak zawsze „prawdomównie“ zapewniał swoje „owieczki“, iż nowego żargonu nawet „czytać niepodobna“, bo składa się ze słów „bez samogłosek“ (!), kiedy jedna z naszych gazet humorystycznych, „dowcipna“, jak zawsze, ironizowała, że „jedynym pacjentem doktora Zamenhofs jest widać—język Esperancki“.

W owym to czasie — było się przecie kiedyś młodym—uderzywszy na apel w „Prawdzie“ i w „Ateneum“ artykułami, wykazującemi zalety nowego języka, jego stanowczą wyższość nad Volapükim, jego niewątpliwą żywotność, a nie doczekawszy się szerokiego oddźwięku serc i umysłów publiczności, zamyśliłem uformować... Klub Esperancki!... Jest się młodym tylko wtedy, kiedy się nie ma lat dwudziestu pięciu.

Cztery razy zgromadzałem się napróżno w mojem mieszkaniu. „Zgromadzałem się“—powiadam—bo tak było. Cztery razy bowiem chwytałem na ulicy i w ogrodzie Saskim, po domach i po cukierniach, moich znajomych, kolegów, przyjaciół, deklamowałem im „Sur la campo for de l'mondo“, wyjaśniałem genialność języka, możliwość sztucznej mowy, przysięgałem na Maksa Müllera, powoływałem się na jego wywody... i otrzymałem obietnicę, że wybrani przezemnie członkowie przyszedłogo klubu

zgrupują się u mnie o godzinie umówionej. I cztery razy zgrupowałem się—sam jeden!

Oblewałem łzami przygotowane na uroczystość inauguracyjną, w charakterze niespodzianki dla członków przyszłego klubu—serdelki, ledwie mogąc nadażyć sam jeden w spożyciu tego, co było przygotowane najmniej dla dziesięciu osób. Czułem dotkliwie wyrządzoną mi krzywdę. Ale kiedy się jest młodym, to się połyka wszystko! Połknąłem i łyżę i krzywdę i serdelki—i znowu chodziłem do znajomych, chwyciłem ich za rękaw w Alei owocowej i literackiej i na Marszałkowskiej i na Nowym Świecie i deklamowałem im „Mia penso“, zaklinając, aby się gromadzili!

I wreszcie klub zaczął istnieć! Zebrało się nas sześciu. Dobraliśmy się cudownie. Wszyscy sześciu byliśmy zagorzali esperantyści. Za ideę jednego języka dla studentów międzynarodowych, mającego pobratać ludzkość, gotowiśmy byli iść w ogień! Chodziliśmy przeto razem do knajpki po każdym posiedzeniu i w osobnym gabinecie piliśmy „za zdrowie d-ra Esperanto i jego języka i na pohybel Volapükowi!“ Toasty mówiły się po esperancku. Po dwudziestu czterech posiedzeniach w „lokalu towarzystwa“, t. j. u mnie, połączonych z posiedzeniami, a nie-raz poleżeniami w knajpce, wszyscy sześciu mówiliśmy „tute flue“ (zupełnie płynnie) po esperancku, nie wyłączając niemal kolegi Janka, który był jąkałą i wymawiał: „Es-pe-pe-pe-ranto“.

Nastąpiło dwudzieste piąte posiedzenie. Coś w rodzaju jubileuszu. Kiedy dziś oglądam zachowane skrzętnie, tylko nieco przygryzione przez myszy, wielkie arkusze naszych protokołów (możnaby z tego spory tom ułożyć), chwytam mnie za serce wielki żal i mocne rozrzewnienie i ogromna bolesć i miłość wspomnień i trochę dumy i cokolwiek rozkoszy i sporo gniewu i wiele rozpa-

czy—słowem to, co niektórzy krytycy nazywają „nastrojem“. Rozpoczynaliśmy jubileuszowe posiedzenie pod znakiem ogromnej energii, prędko załatwiliśmy „kwestje dnia“, wyjątkowo nie podpisaliśmy protokołu, zamierzając dopełnić go przy uczcie—w naszym gabinecie.

Po czwartym kieliszku wstąpiliśmy w znak entuzjazmu. Józio, który był najprędszy z nas, był przekonany, że już istnieją dwa kluby, albo że przynajmniej ilość jego esperanckich towarzyszy wzrosła do dziesięciu. Olek po trzeciej butelce *czerwonego* przysięgał, że cały świat najdalej za lat siedem (święta cyfra egipska!)—zesperantyzuje się. Janek, leżąc na kanapie, miał wizję ludzkości pobratanej, poplątanej miłośnicie rękami i nogami. Wacio z Antkiem tańczył nowego esperanckiego kadryla, który obaj na poczekaniu wymyślili; wyborny taniec mający tylko tę wadę, że tancerze, idąc ku sobie po liniach spiralnych, nie mogli się spotkać. Ja zaś, chociaż piłem mniej od innych, że to mam głowę słabą i dość mi dwóch kieliszków, stałem przez godzinę i miałem „nieprzerwaną“ mowę o zbrataniu wszystkich ludów, której nikt nie słuchał, jakkolwiek po każdym okresie dzwoniłem widelcem w talerz i prosiłem o głos. Było nam wszystkim wesoło, było raźnie na duszy...

Ale musiało przyjść otrzeźwienie. To jest właściwie nie wiem, czy się dobrze wyrażam. Bo piliśmy jeszcze i piliśmy ciągle (ja z moją słabą głową mniej, niż inni—wystarcza mi sześć kieliszków), a po ósmej butelce nastąpiło owo straszne otrzeźwienie. Może to dlatego, że za złośliwą poradą kelnera zaczęliśmy pić tę obrzydliwą wodę sodową i łykać cytrynę z czarną kawą.

Dość, że nasz entuzjazm ulotnił się. Wstępowaliśmy pod natchnieniem jakiejś złej mocy w nastrój przeciwny. Moja nieprzerwana mowa (ciągle przerywana zresztą) zakończyła się wbrew mojej woli tonami karawaniarskimi.

Naraz machnąłem ręką, rozplakałem się i powiedziałem: „ludzkość nie chce, nie chce braterstwa! *Homo homini lupus!* A my jesteście marzyciele!”

Wtedy, chwiejąc się na nogach, jakby było trzęsienie ziemi, powstał Janek, jękała, i korzystając z tego, że my wszyscy siedzieliśmy cicho, z opuszczonymi na piersi głowami miał do nas przemowę:

„Ludzkość to po... po... podlecę, a my jesteście du... du... duże osły! My chcemy wal... wal... walczyć z ludzką głu... głu... głupotą!”

Taki był wstęp. Dalszy ciąg był rozwojem tezy naczelnej. Janek mówił, a my słuchaliśmy. Im dłużej mówił, z tem większem zajęciem słuchaliśmy jego zajakliwej mowy. Zapewniam was dziś jeszcze, że warto było posłuchać. Może czarna kawa wróciła mu jasność umysłu, a może jego duch filozoficzny, który ceniliśmy w nim zawsze, nie poddawał się naogół przemocy alkoholu, może wreszcie wymowność jego nabierała prężności, skąpana w napoju wyskokowym (boć zdarzają się i takie organizacje)—dość, że wyjaśnił nam barwnie, ściśle i głęboko, czemu było nas tylko sześciami i mimo starań pozostawało ciągle tylko sześciami, czemu zagrzewająca nas idea nie zagrzewała ogółu, czemu napotykaliliśmy wszędzie tylko obojętność lub drwinki, apatię lub protest.

Ludzie, którzy tak płynnie recytują dowody przeciw językowi sztuczному, mogliby się wiele od tego jękały pouczyć. Powiadam to zupełnie serjo. Nie chcąc was nużyć powtarzaniem powtarzanych sylab, streszczam krótko zasadnicze idee Janka, radząc wam, abyście się do brze nad niemi zastanowili. Oto rdzeń tej przemowy:

* * *

Cechą przeciętnej umysłowości ludzkiej jest, że nie schodzi ona nigdy do gruntu kwestji, lecz we wszelkich sądach posilkuje się analogjami. Jest to najłatwiejsza me-

toda myślenia i dlatego uciekają się do niej wszyscy leniwczy. Lenistwo jest niesłuchanie zarozumiałe. Nauczyło się kiedyś czegoś z musu, czy to pod linją nauczyciela, czy pod grozą dwójki w dzienniku, czy poprostu, że życie uderzyło w nie pouczającym doświadczeniem, jak obuchem, i mniema, że już wszystko wie, że zjadło wszystkie rozumy.

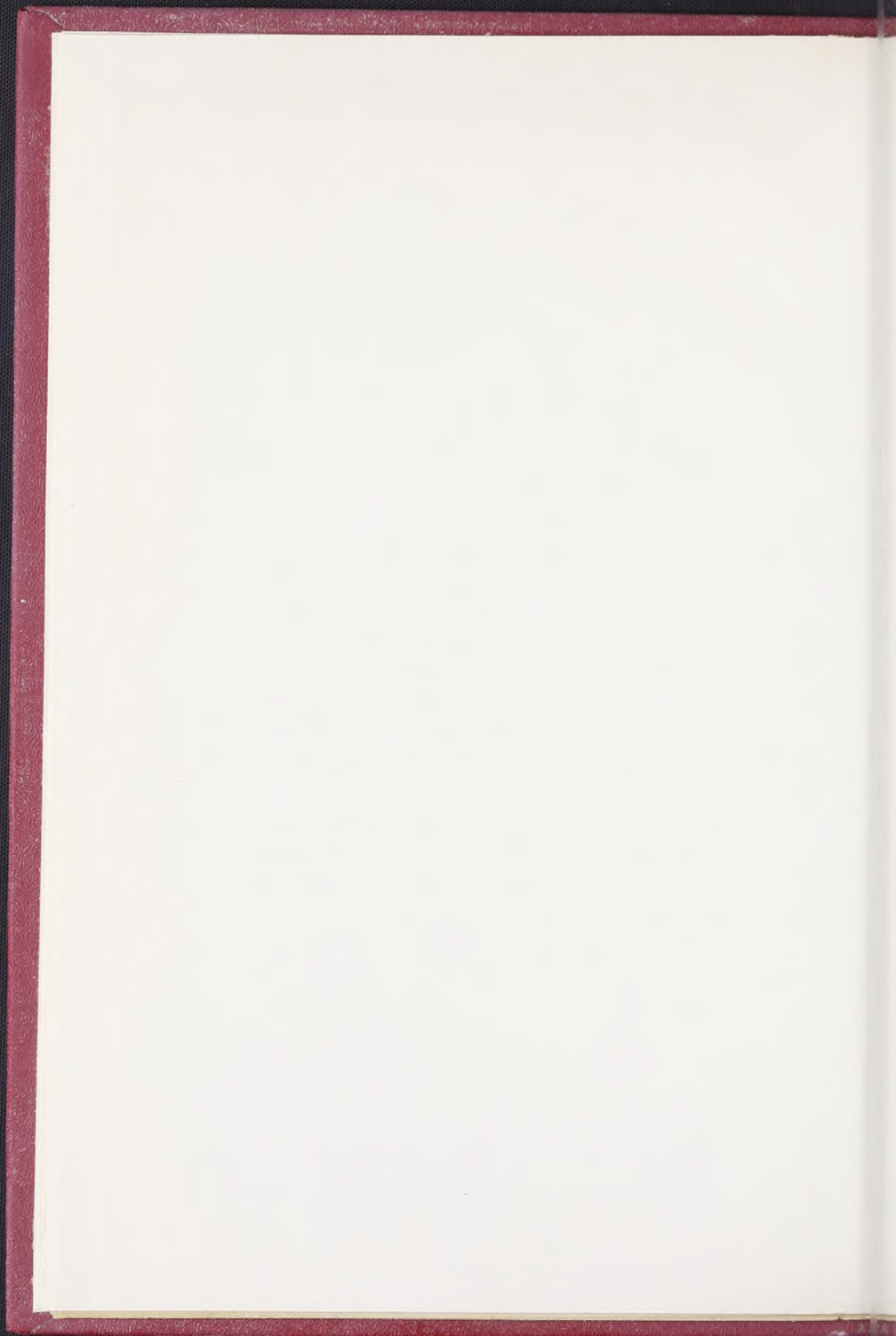
Odtąd, jeżeli zjawia się coś nowego, co wymagałoby przestudjowania specjalnego, skoro o tem nowem ma być wydany sąd słuszny, lenistwo cofa się przed nauką, ale... sąd wydaje. Bo ono zwykło upodabniać kwestję, narzucającą się myśli, do tych lub owych już wiadomych, znanych rozstrzygniętych lub pseudo-rozstrzygniętych kwestyjek, które ma w swojej ciasnej głowie, i powiadać: ponieważ to jest *podobne* do tamtego, to musi się rozstrzygać, jak tamto. Niema co mówić o tem, że analogje naogół są nader luźne, często błędne, że poprostu w zależności od humoru, od chwilowego rozpędu, przeciętny „myśliciel“ podciąga dany fakt zagadkowy pod kategorię tych lub owych fakcików, które jako tako ułożył w „skarbcu“ swojego ducha.

Więc kiedy zjawia się idea zupełnie dlań nowa, np. idea sztucznego języka, przeciętny „myśliciel“ staje przeciw niej odrazu sztorcem. Albowiem szukając analogji wśród zapasów swojej wiedzy, którą zawsze uważa za bogatą i niemal skończoną, nie znajduje tam punktu oparcia. On wie, że istnieje język francuski, niemiecki, angielski, chiński itd. i wie doskonale, że to wszystko są języki naturalne.

A zatem język sztuczny jest zgoła niepodobny do żadnego, nie daje się podprowadzić pod analogję z temi. Dla przeciętnego myśliciela wystarcza to, aby odrazu osądzić, że język sztuczny jest niemożliwością.











2009262



Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001012360954